



FELIETONY



DARIUSZ MAGIER

RUSZAJ ZBIGNIEWIE, CZYLI CLUBBING PO RADZYŃSKU

Zaczynamy po dziesiątej rano, kiedy rusza bar u Pani Teresy. Jeśli nie ma z nami osób palących, usadawiamy się w sali głównej, która bardziej odpowiada naszemu zmysłowi estetycznemu. Gdy w towarzystwie znajdzie się osobnik spalający tytoń, będziemy zmuszeni przejść do sali dla palaczy, co niestety narazi nas na obcowanie z młodzieżą. Znając kondycję współczesnych rodzin i szkół, wiadomo co to oznacza. Mówi się - trudno, egalitaryzm - naród polityczny mamy dziś (za) szeroki. Zrazu spokojnie, delikatnie, po browarze, może jakieś śniadanko w trakcie (jedzenie smaczne i godne polecenia). Gadka - szmatka o pracy, życiu, radzyńskich układach rodem z jednolitego frontu „robotników, chłopów i inteligencji pracującej” (trzymają się mocno), słów kilkoro o epizodach z życia codziennego komuny mentalnej i tej rzeczywistej osób, które nie zdążyły wyskoczyć z pociągu „Socjalizm” na przystanku „Niepodległość” w 1990 roku. Tak spędzamy czas do pory obiadowej, kiedy to możemy opuścić sąsiedztwo proletariackiej młodzieży w „Relaxie” i podążyć na zachód, zawadzając przy tym o radzyńskie ściany płaczu na granicy i poza terenem historycznego getta starozakonnych, czyli bankomaty przy ulicy Ostrowieckiej bądź Warszawskiej, tak czy inaczej będące po drodze na Manhattan stanowiący cel naszej wędrówki.

Przy piwie studiujemy menu, by i tak zamówić w końcu tatarą i golonkę z setką czystej lub po dwa „wściekle psy” na głowę - jeden przed, drugi po obiedzie. Smak wódki (lub tabasco - w drugim przypadku) zmywamy piwem i snujemy plany na przyszłość. Wokół nas to pojawiają się, to znikają twarze kolejnych znajomych, „ci odlatują, ci zostają”, jak pisała Agnieszka Osiecka. Przypijamy do nich każdorazowo, bezdyskusyjnie i nie jeden raz.

W końcu, po godzinie 16 towarzystwo stabi-

lizuje się, tematy krążą wokół wspólnej przeszłości, przewag i porażek, rzeczy ważnych i mało istotnych, ale zawsze - po latach - wesołych i nostalgicznych. Znowu jesteśmy na studiach. Pałaszując podwieczorne przekąski wspominamy głodówkowe dania z *niczego* w akademiku (spaghetti z resztki makaronu i paprykarza - moje firmowe), czy podbieranie lurowatych zup w stołówce studenckiej. Znowu prowadzimy metę ruskiego spirytusu na szóstym piętrze „Grzesia” na lubelskim miasteczku akademickim - mało zyskową, gdyż większość towaru i tak wlewaliśmy do własnych gardeł. Znowu przywołujemy pamiętne, obowiązkowe „obiady czwartkowe” w pokoju 625, imprezy mocnoalkoholowe przy Budce Suflera i orgazmowym głosie Dolores z zespołu Cranberries. Stacamy zwyczajowe boje ze zwolennikami Piłsudskiego i przekonując do narodowych racji wszechpolskich wykańczamy wątroby ruskim spirytusem Royal z kontrabandy, zakupionym w plastikowych butelkach od „braci ze wschodu” na bazarze na Podzamczu. Rozrobiony ze sztuczną zaprawą cytrynową wciąż nie tracił swego chemicznego posmaku, który - możemy przysiąc - na powrót pojawia się na mgnienie oka na naszych kubkach smakowych. Spłukujemy go łykiem piwa, podobnie jak wówczas zagryzaliśmy kanapkami z mortadela z pobliskiego „Samu” (po 4 tysiące za kilogram). Wspominamy szalone sylwestry w „Ikarze” sąsiadującym z terenem jednostki żandarmerii wojskowej i owego biednego wartownika stojącego na wprost naszego okna, który w końcu nie wytrzymał i o pierwszej w nocy zawiał do nas, by przed południem odjechać na sygnale wojskową suką w towarzystwie czterech smutnych żandarmów, co to niejedno już w życiu widzieli. Kałasznikow chłopaczyny z ostrą amunicją znalazł się u dziewczyny na dru-

gim piętrze (jakim cudem?!) dopiero kilkanaście godzin później. W końcu wiele, bardzo wiele innych, „życiowych” (jak mawia moja teściowa oglądając kolejny odcinek *Mody na sukces*) historii.

W okolicach zmierzchu natura włóczykija każe nam wymykać się w rześkie powietrze wieczora, licząc, że Hos otworzył już swój „Remont” (jak zwykle mruknie z rezygnacją w głosie: „Darunia, może byście kiedyś przyszli trzeźwi i u mnie zostawili pieniądze, żeby się wstawić”), gdzie zasiądziemy i popsujemy pozostałej klienteli humor wrzucając do szafy grającej te same co zawsze utwory: *Girl, You'll Be a Woman Soon* z filmu *Pulp Fiction* (dla Rumburaka), coś Iron Maiden (dla Pawła), *Stańcie przed lustrami* Róż Europy (dla mnie), *Peggy Sue nie wyszła za mąż* Myslowitz (dla nas wszystkich po trosze - refren zawodzimy jak stado wykastrowanych diabłów) i inne utwory, które omotują nas szalem nostalgii za czasami minionymi, chociaż my tego minięcia zauważyć nigdy nie chcieliśmy i tylko chwilami konstatujemy je ze zdziwieniem, gdy ładniutka barmanka Monika ponarzeka, że może byśmy jednak dali sobie spokój, bo ludzie chcą się bawić, czyli słuchać umpa-umpa, owego „bezdusznego walenia”, jak to trafnie określił Brad Wesley (w sumie kawał kutasa) w filmie *Road House*.

Kilka słów ze znajomymi, którzy zawieruszyli się tu po pracy, tematy już cięższe, plany konkretniejsze (pozornie), wszystko, o dziwo - prostsze w realizacji. Pijemy na pohybel czerwonym, przy toastach śpiewamy *Wstawaj strana narodnaja...* wzbudzając niezdrowe zainteresowanie pokoleń, dla których język rosyjski jest bardziej egzotyczny niżli murzyńskie suahili.

Przestajemy kontrolować czas, wszystko zlewa się w jeden zwariowany bal na pijanym Titanicu pośród morza radzyńskiego parku zasadzonego jeszcze przez ogrodników Eustachego Potockiego i gorliwie podlewanego przez bywalców „Remontu” spuszczających tu notorycznie nadmiar chmielowego napoju. Koedukacyjna łazienka sprzyja damsko-męskim



📷 Tomasz Młynarczyk

kontaktom, choć daleko jej do toalety nieodżałowanego Olsena - knajpy, jakiej nigdy przedtem w Radzynie Podlaskim nie było i - obym się mylił - już nie będzie. Owszem, snujemy z Adamem i Przemasem pijackie rojenia o założeniu pubu z prawdziwego zdarzenia, ale czy nie byłby to interes w stylu owej mety z akademika, na której wyszedłem w końcu jak Zabłocki na mydle?

Ewakuujemy się z tej „kloaki szatana”, jak miejsce to określa Ziemek - ten sam, który sunie do toalety jak gdyby brał udział w super gigancie, ostro slalomując między szemranym towarzystwem okupującym przedsiorkowy korytarz „Remontu”, a przy każdym nieudanym wirażu krzyczy do nas z rozpaczą: „Kurwa, lewak mnie dotknął!” - w nieświadomości i z poczuciem żalu za kończącą się chwilą i czekającym nas już tylko rachunkiem, który

przyjdzie nam zapłacić rano, po kilku niespokojnych godzinach snu.

Gdy w mieście grasuje na występach gościnnych Rumburak, koło 8.30 mogę spodziewać się esemesa o treści, dajmy na to: „Godzi się odprowadzić gościa”. No i rozpoczyna się faza pożegnalna. Nie, żaden dworzec - lądujemy u Pikuta, czyli w jedynej knajpie w mieście otwartej od świtu do zmierzchu. Zajmujemy miejsce przy stoliku i smętnie spozieramy ku wysuszonym szczupaczym paszczom wiszącym na ścianie obok toalety, z której leniwie sączy się woń amoniaku. Potworne pragnienie emanujące z rybich paszcz zmusza nas do miarowego przechylania kufli z najlepszą „Perłą” w Radzynie - ot taka prosta socjotechnika na użytek szynkarza. Obok nas życiowe problemy niedobitków wczorajszego dnia - oko spawacza i oddech smoka ostatnich dumnych obywateli geriatrycznej Unii Europejskiej na

wschodnim limesie. To tu dane nam było poznać tytułowego Zbigniewa. Siedział przy sąsiednim stoliku. Niepozorny, cichy, nie przeszkadzając nikomu wprawiał się w ów magiczny stan odmiennej świadomości znany każdemu człowiekowi o duszy artysty. Wreszcie wstał niepewnie. Siatka z jabłkami, po które zapewne żona wysłała go niebacznie na bazar, kołysała się targając wątlym ciałem mężczyzny to w jedną to w drugą stronę. W końcu, chcąc się zmobilizować, mruknął pod wąsem: „Ruszaj, Zbigniewie!”. I ruszył. Po chwili zniknął nam z oczu, choć w pamięci pozostał już na zawsze.

I my za chwilę opuścimy gościnne Pikutowe progi, by udać się na śniadanie - zwykle koło 10, kiedy rusza bar u Pani Teresy. Jeśli nie ma z nami osób palących, usadawiamy się w sali głównej...





KRZYSZTOF KWOCZKO

kobieta 1
kobieta 2
kolo z baru
ktoś kto puścił sygnał z anglii

bożonarodzeniowe liryki
noworoczne haiku
odpowiadam im głuchym raportem
dręczenia

kto by pomyślał że wtedy kiedy byliśmy
martwi
mieliśmy wpływ na przyszłe życie
i żywe światy równoległe
że mogliśmy płodzić dzieci
że było to potencjalnie możliwe
a owszem prawdziwie byliśmy martwi
zataczaliśmy się śmiertelnie
mało pamiętam z przedśmiertnego życia
i nieważne się zdaje to co było nim
przyszedłeś i powiedziałaś wstań
nim niepotrzebnie spytałeś czy wiem co
stało się wczoraj

leszkowi agom emce

jasny dźwięk dzwonów brzmi głosem
czystego józefa
dzień nad prowincją wstaje
stare miasto się ślania na nogach
na spróchniałym pniaku po wyrwanej farze
siadamy palimy
nam sen krótki nie pachnie sianem
rzygamy na stare kamienie

mam zwierzęcą ulgę na rozróby w barze
zaświadczenie z poradni i pięć procent
rabatu
przy rozliczaniu z życiowych dokonań
mam ból głowy
zdrzemnę się trochę poczuje się jak nowo
narodzony
wyrazę swe potrzeby w monosylabach
stawiał będę pierwsze niepewne kroki



NATALIA JULIA NOWAK

Najcnotliwsza w klasie

MOJA MYŚŁOZBRODNIA

Po raz pierwszy piszę felieton o osobie, której nazwiska nie mogę zdradzić. Gdybym to zrobiła, natychmiast rozległyby się szydercze śmiechy, okrzyki nienawiści i jęki rozczarowania. Nie da się ukryć, że obrona tego człowieka jest w Polsce źle widziana. Jeżeli ktoś nie naśmiewa się z tego kogoś i nie przejawia skrajnej niechęci do jego poglądów, zostaje uznany za godnego pogardy prostaka. Myślę, że osoby, które interesują się wydarzeniami w kraju, szybko odgadną, o kogo chodzi. Jednak dla bezpieczeństwa wołałabym go nazywać Sami-Wiecie-Kim. Przez ponad dwa lata napotykałam się w Internecie na teksty krytykujące bohatera felietonu. Artykuły poświęcone Sami-Wiecie-Komu miały wyłącznie negatywny wydźwięk, pod spodem łądowały złośliwe komentarze czytelników, które - choć prześmiewcze i nierzadko wulgarnie - były tolerowane przez administrację. Widziałam nawet sporo stron mających na celu obrażanie Tego-Którego-Nazwiska-Nie-Wypada-

Ujawniać oraz jego potężnego medium. Oczywiście, nie podobało mi się, że jeden człowiek jest publicznie znieważany przez wiele osób. Uznałam jednak, że skoro miliony ludzi przypisują mu różne grzechy, to muszą mieć rację. Parę razy zdarzyło mi się nawet z niego pośmiać. Przecież tak robią wszyscy...

22 czerwca 2007 roku postanowiłam dokładnie przyjrzeć się jego działalności. No i popełniłam coś, co George Orwell nazwałby myślzbrodnią: przekonałam się do Sami-Wiecie-Kogo! Odkryłam, że jest on normalnym, inteligentnym duchownym, który nie strzela obelgami jak z ckm-u, tylko głosi Dobrą Nowinę. Jego katechezy nie budzą żadnych zastrzeżeń i mogę to potwierdzić jako osoba, która od pierwszej klasy szkoły podstawowej do końca gimnazjum miała szóstkę z religii. Nawet jeżeli wypowiada się na tematy polityczne, uzasadnia swoje zdanie ciekawymi, przemyślanymi argumentami. Podobnie jak ja, jest konserwatystą nie znosi wyuzdania i



mordowania nienarodzonych dzieci. Ma poczucie humoru i ostry języczek, który pozwala mu się bronić przed milionem przeciwników (podczas spotkania z słuchaczami poinformowano Sami-Wiecie-Kogo, że ktoś skrytykował go w programie Canal+. Bohater felietonu odpowiedział, że o tym, jaka jest ta stacja, świadczy pierwszy człon jej nazwy: „Kanał”).

Nie rozumiem zarzutów, według których Ten-Którego-Nazwiska-Nie-Wypada-Ujawniać jest antysemitą. W pewnej audycji nadawanej na żywo, powiedział przecież, że lubi Izrael i jego mieszkańców! Stwierdził też, że jeżeli Żydzi naprawdę rządzą polityką i gospodarką, to pewnie są sprytniejsi od Polaków. W związku z tym możemy ich podziwiać...

Sami-Wiecie-Kto jest niesłusznie oskarżany również o inne rzeczy. Kiedyś rozprzeszreniono po świecie plotkę, według której duchowny posiada maybacha i łódź podwodną. I nie byłoby w tej historii może nic dziwnego, gdyby nie fakt, że zakonnik nawet nie wiedział, co to jest maybach! Dopiero potem poinformowano go, że to bardzo dobry samochód, który może kosztować nawet milion dolarów. Pewna kobieta z Wielkiej Brytanii postanowiła zrobić Sami-Wiecie-Komu niecodzienny prezent i wysłała mu miniaturowy model maybacha. Dopiero wtedy plotka stała się zgodna z prawdą.

Cała historia z maybachem przypomniała mi pewne wydarzenie z mojego życia. Kiedy miałam 13 lat, jakieś dziewczyny wymyśliły sobie, że „zakochałam się w Hajduku”. Oczywiście, połowa szkoły zaczęła mi dokuczać z tego powodu. Niemal bez przerwy słyszałam złośliwe okrzyki w stylu: „Patrzcie! Hajdukowa! Hajdukowa!”. Ta idiotyczna sytuacja doprowadziła mnie na skraj rozpacz, bo tak się składa, że ja do tej pory nie wiem, kim jest Hajduk! Nie znam go, nigdy go nie widziałam!...

W pierwszej klasie gimnazjum przekonałam się, co to znaczy być prześladowaną przez wiele osób. Odkryłam, co człowiek czuje, kiedy atakuje go grupa bezwzględnych oszczerców. Raz oskarżono mnie nawet o



Tomaz Młynarczyk

coś, czego nie zrobiłam...

Nic więc dziwnego, iż potrafię zrozumieć wyśmiewanego Sami-Wiecie-Kogo. Odczuwam do niego pewną sympatię, chociaż nie popieram go we wszystkim. Może zakonnik nie jest ideałem, ale na pewno nie ma tak złego serca, jakie przypisują mu media. Jeżeli przez przypadek zdarza mu się kogoś obrazić, to nie waha się powiedzieć: „przepraszam”.

Ech, jeszcze rok temu nie przyszłoby mi na myśl, że mogę mieć coś wspólnego z tym zniechędzonym duchownym. Zaprzęczyłabym każdemu, kto stwierdziłby, że mogę stanąć po jego stronie. Ale teraz jestem starsza i o wiele mądrzejsza.





ADAM WIELOMSKI

PRECZ Z BLOKIEM, CZYLI O WYSOKĄ KULTURĘ PICIA!

Jest pewnym stereotypem, że Polak = pijak, a szczególnie zapijaczony miałby być człowiek wsiowy, czym w sposób zdecydowany różnić by się miał od miastowego, a szczególnie od tzw. wykształciucha. Z mitem tym - oczywiście stworzonym w mieście i przez „wielkoblokowych” ideologów - musimy się dziś stanowczo rozprawić.

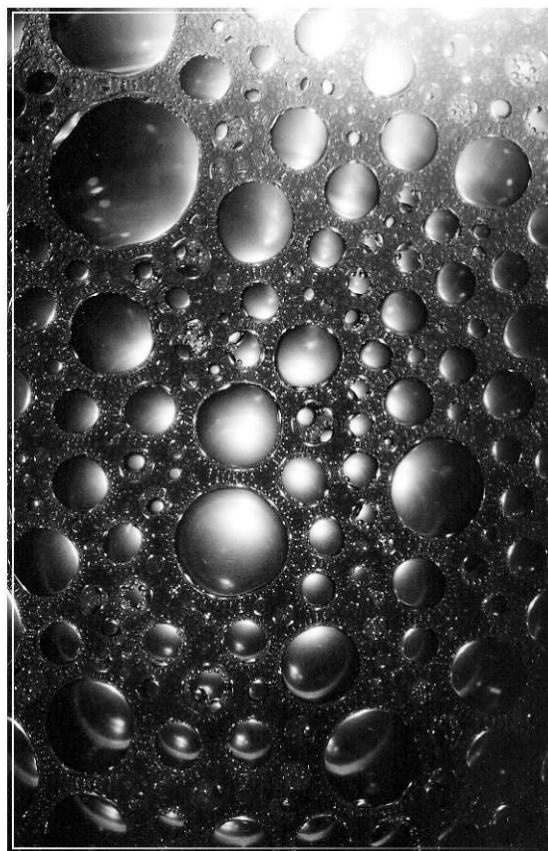
I

Po pierwsze, pijaństwo jest tak stare jak ludzkość. Wystarczy przypomnieć, że pierwszym cudem, który musiał sprawić Jezus, był ten z Kany Galilejskiej, polegający na przemianie wody w wino. Można by nawet mieć wątpliwości czy autorytet Zbawiciela nie został aby nad-szarpięty poprzez zniżenie się do cudu produkcji wina. Ale, być może, cud ten nie był aż tak wielki. Wszak na pewnym poziomie upojenia ludzie piją wodę z kranu jako wódkę i nie mogą się nachwalić nad znakomitością trunku.

Po drugie, pijaństwo w jakiejś mierze jest częścią ludowej tradycji, szczególnie polskiej, starszylacheckiej. W znakomitej powieści tradycjonalistycznej Henryka Rzewuskiego *Listopad* jest taka piękna scena, gdy główny bohater - konfederat barski - jedzie przez pola i lasy i przyszło mu zanoć w polu. Następnego dnia budzi się rano zmarznięty, więc zaczyna sobie przyrządzać śniadanie na patelni (bodaj jajecznicę, jeśli mnie pamięć nie myli). Ale, że idzie to długo, a zimno jest niesamowicie, to „przyśpiesza” proces grzewczy własnego ciała. W tym celu wyciąga z kieszeni niezbędny dla ocieplenia ciała „rekwizyt” i (na czczo) opróżnia jego połowę. Henryk Rzewuski kwituje to stwierdzeniem, że oto jest prawdziwy, polski, tradycjonalistyczny szlachcic.

Ja też czuję się takim tradycjonalistą, chociaż nie wykonuję procesu grzewczego bez

towarzystwa przysłowiowego sledzika... Cud w Kanie i anegdota (moja ulubiona) z Rzewuskiego wskazują jednoznacznie, że spożycie alkoholu jest tak stare jak historia ludzkości i wynalezienie butelki, obok wynalazku koła, stanowi o przejściu człowieka z epoki prymitywnej do cywilizacji. Co więcej, wszyscy ci, którzy chcą przerobić ludzi na abstynentów podejmują się projektu utopijnego. Picie alkoholu wynika bowiem z niezmiennej i uniwersalnej natury ludzkiej. Bojownicy abstynencji społecznej są w takim samym konflikcie z naturą ludzką jak Karol Marks i jego leninowscy uczniowie, którzy chcieli pozbawić człowieka własności prywatnej i „uspołecznic kobiety”. Wszelkie manifesty



📷 Tomasz Młynarczyk

abstynenckie mają się tak do rzeczywistości jak *Manifest komunistyczny!*

Przyznam więc, że nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego partie katolickie w samorządach walczą zawzięcie o zmniejszenie liczby „punktów” sprzedaży alkoholu; dlaczego organizowane są katolickie akcje abstynenckie? Picie alkoholu jest słabością ludzką, a więc jest prostym skutkiem grzechu pierworodnego - czyli stanowi nieodłączny element natury ludzkiej. Ten, kto chce - w imię Boże - wypłenić pijaństwo, a pewnie i ogólnie „spożycie” jako takie, ten chce zmienić naturę ludzką; wyznaje więc lewicową i oświeceniową tezę o „plastyczności” natury człowieka. Tezę tę wyznawać można, ale trzeba pamiętać, że ociera się ona o teologiczny pelagianizm i angelizm, a więc stoi w sprzeczności z nauczaniem Kościoła. Jeśli mnie pamięć nie myli, to znani apokaliptyczni heretycy (Joachim z Fiore, Thomasso Campanella, Girolamo Savonarola) jako główny punkt swojego utopijnego projektu przemiany świata w wielki klasztor podawali likwidację alkoholu... Wara od naszej tradycji, o wstrętni HERETYCY!

II

Pijaństwo na wsi miało początkowo przyczyny chemiczne. Był taki czas, gdy ludzie

umieli już produkować piwo, ale nie umieli go konserwować. W wyniku tego produkowano nagle wielką masę szlachetnego złocistego napoju, który ulegał szybkiemu zepsuciu. Ze względów technologicznych i nakładu pracy nie opłacało się go produkować w drobnych ilościach. Dlatego też - aby uniknąć zmarnowania się tego niewątpliwego daru Bożego - zwoływano wszystkich sąsiadów ze wsi, a następnie z wiosek sąsiednich, aby posilili swoje wymęczone wodą żołądki. Sąsiedzi i mieszkańcy wiosek obok czuli się zobowiązani do zrewanżowania się za zaproszenie i urządzali podobne imprezy. To jest naturalne źródło nadużywania alkoholu. Dlatego też powstały karczmy prowadzone zresztą głównie przez (CENZURA - wiemy przez kogo, ale nie chcemy się narazić na zarzut antysemityzmu jak prymas Glemp swojego czasu), które zaczęły skupować nadmiar piwa od okolicznych chłopów i wprowadziły zwyczaj spożywania trunku w jednym i zawsze tym samym miejscu. Co ciekawe, to wiejskie pijaństwo stało się częścią tradycji do tego stopnia, że gdy wynaleziono metody konserwacji piwa, to np. królowie angielscy wydawali edykty zakazujące stosowania konserwantów, gdyż stanowiłoby to naruszenie wielowiekowej TRADYCJI.

Jeśli spojrzymy dziś na mapę pijaństwa w



Polsce, to na jej czoło wysuwają się nie tereny rolnicze, ale neorolnicze. My, ludzie wsiowi, pijemy, ale nie jesteśmy pijakami; jeśli nawet jakiś mieszczyk-wykształciuch spostonowałby nas imieniem „pijaka”, to na pewno nie jesteśmy alkoholikami. Pijemy, bo mamy ochotę, a nie dlatego, że cierpimy na „chorobę filipińską”. Zresztą casus Aleksandra Kwasniewskiego pokazuje, że ten archetyp wykształciuchowski wzywający Ludwika Dorna i jego Sabę, nie jest sam wolny od nałogu.

Mapa pijaństwa w Polsce jest jednoznaczna: piją nie ludzie wsiowi, ale „neowskiwi” czyli ci z PGRów, czyli wieśniacy „wtórni”. Piją ci, których bolszewicka Rosja wygnała z ich domów na Wołyniu, spod Lwowa i Wilna, wykorzeniła z wielusetletniego miejsca bytowania, i których następnie komunistyczne państwo zesłało na tzw. ziemię odzyskane. Już pod koniec XIX wieku Maurice Barrès w swym znakomitym cyklu powieściowym *Wykorzenieni*

pokazywał, że wyrwani z wiejskiego klimatu ludzie popadają w najgorsze opały i staczają się na samo dno hierarchii społecznej.

Przecież PGR nie jest wsią! Jeżdżąc często między Siedlcami a warszawką mijam taką „wieś” o nazwie Janów. No właśnie... wieś? Jest pole, rosną rośliny, drzewa, a pośrodku tego zielonego naturalnego krajo-brazu Mazowsza stoją dwa monstrualne bloki - dwie bluźniercze góry betonu pośrodku wiejskiego landszaftu. I tak wyglądają postkomunistyczne PGR-y: bloki na wsi; bloki na polach; bloki w lesie.

Georg W. F. Hegel sformułował teorię alienacji (wyobcowania, odczłowieczenia), rozwiniętą potem przez Marksa. Polegała ona na tym, że człowiek czuje się obco w świecie rzeczy, które przestały być dodatkiem do niego, jego częścią, stając się „nie-Ja”, czymś innym, obcym (stąd „wyobcowanie”). Rzeczy pierwotnie były przedłużeniem mnie, a teraz to ja stałem się dodatkiem do rzeczy (np. ręką obsługującą maszynę, na której pracuję po 10 godzin dziennie, gdyż głód zmusza mnie do pracy).

Mój dom jest częścią mnie, jest dodatkiem do mnie, przedłużeniem „ja” w świat nieożywionej materii. Mówiąc po heglowsku, użyczam tej rzeczy moją wolę i czynią ją częścią mojego świata. O bloku tego nie można powiedzieć. On *ex definitione* jest „nie-ja”. Jest własnością jakiejś bolszewickiej „spółdzielni” czy zarządu PGR. W związku z tym moje ja zostaje „rzuczone” (to już z Heideggera), pozostawione w „obcym” mi świecie i staje się dodatkiem do obcej mi rzeczy. Jestem niejako uwięziony w „nie-ja”, w dodatku w „nie-ja” z betonu.

Co mi zostało, gdy bezbożna cywilizacja wyobcowała mnie nawet z mojego własnego domu? Wódka, wódka i jeszcze raz wódka. Skasujcie bloki, a nie będzie alkoholików, będą tylko radośnie „spożywający” - tacy jak goście weselni w Kanie Galilejskiej i w podróży barskiego konfederaty z *Listopada* u Henryka Rzewuskiego.



Joanna Bukowska





WŁODZIMIERZ WYSOCKI

Wariacja na cygańskie tematy (Sen)

We śnie widzę ognia snop
 aż chrypnę od wrzasku
 jak Bóg da przeczekam to
 lepiej jest o brzasku
 No i rankiem znów nie tak
 nie ma tej radości
 znowu pijesz no bo kac
 palisz no bo mdłości

Р. Да и-их раз, да ещё раз,
 да ещё много, много,
 много, много, много раз.
 Да ещё раз...

W knajpie jest gościnny bar
 piątek czy niedziela
 dla kuglarzy to jest raj
 dla mnie ciasna cela
 W cerkwi smród, kadzideł dym
 wznosi się do nieba
 nie i cerkiew nie jest tym
 nie jest tym co trzeba

I na górę uciec chcę
 gdyby co nie wyszło
 a na górze olchy pień
 a pod górą wiśnia
 Gdyby choć na zboczu bluszcz
 wspiąłbym się do nieba
 byle co, no ale cóż
 nic nie jest jak trzeba

I po polach i w dół rzek
 nigdzie nie ma Boga
 między zbożem chabrów ścieg
 i daleka droga
 A po drodze las jak świat
 z Babami Jagami
 a na końcu czeka kat
 z trzema toporami
 Tam gdzieś konie skaczą w takt
 dławi je wędzidło
 po tej drodze wciąż nie tak
 w końcu wszystko zbrzydło

Nic świętego - ani bar
 ni cerkiew ni chata
 Нет, ребята, всё не так,
 всё не так, ребята

Przekład Aleksandra Świć, Adam Świć



MAX SKRZECZKOWSKI

Od ponad 10 lat stoję za barem. Nazwy miasta i lokalu nie wspomnę, abym nie został, posądzony, że tekst ten jest reklamą, bądź co gorsza - antyreklamą. W ciągu tych lat byłem świadkiem tysięcy sytuacji. Wiele z nich przeminęło bezpamiętnie (jak 368 odcinek kiepskiego sitcomu) inne pozostały.

Niepewność co będzie jutro

Pewnego razu przyszedł mężczyzna: około 45 lat z niewielkim, okrągłym brzuszkiem, zadbany. Usiadł w rogu. Przy kolejnym piwie zaproponował, abym się dosiadł. Zaskoczyło mnie, że był gotowy zapłacić za chwilę poświęconego czasu. Gdy usiadłem zaczął opowiadać o kierowniczych stanowiskach swoim i żony, o cichej rywalizacji, o braku czasu, olbrzymim napięciu, odpowiedzialności i gigantycznych pieniądzech; o rozstaniu, które nastąpiło kilka godzin wcześniej i o niepewności tego, co będzie jutro... zdjął obrączkę...

Tylko kasa

Innym razem wczesnym przedpołudniem przyszedł facet: niski, sportowa sylwetka, szybkie spojrzenie, skórzana kurtka, wiek trudny do określenia. Zamówił setkę. Gdy otwierał portfel zauważyłem wizytówkę ze znajomym logo. Usiadł przy barze, chcąc rozpocząć rozmowę, zapytał czy wiem, kim jest. Bez namysłu odpowiedziałem, że policjantem. Skinął głową i zaczął jakbyśmy kończyli wcześniejszą rozmowę. Mówił, że wiecznie powtarza się to samo, jak zabezpieczają ślady na miejscu zdarzenia, zawsze, gdy jest to samobójstwo, są naciski ze strony rodziny, aby zakwalifikować to jako morderstwo. Ubezpieczenia, odszkodowania, po prostu gruba kasa. Człowiek jeszcze ciepły a oni

BAROWE OPOWIEŚCI

tylko o kasie... O nic nie pytałem. Wypił, wyszedł, nigdy nie wrócił...

Uchodzące życie

Kiedyś w środku nocy pewien szczupły, starszy mężczyzna siedząc na krześle nie dawał znaku życia. Był siny, zwiotczały, zdawało się, że nie oddycha. Potrząsnąłem nim, aby go ocucić. Przeraziłem się jak bardzo jest bezwładny, jego głowa opadła, jakby nic jej nie trzymało. 999 nie odpowiadało. Pobiegłem do nich co sił w nogach. Walilem w drzwi, dzwoniłem, nawoływałem. Wreszcie wyszedł zaspany lekarz, pytając ze zdziwieniem co się dzieje? Zanim się zebrał i podjechaliśmy, minęło dobre 10 minut... Na miejscu okazało się, że reanimacja, którą przeprowadził jeden z klientów, przywróciła uchodzące życie...

Nic poważnego

Mam kilku klientów, którzy choć się nie znają, zaliczani są przeze mnie do jednego klubu. Przyjeżdżają regularnie co kilka miesięcy, ale zawsze z innymi dziewczynami. Są mili, uśmiechnięci, trzymają je za ręce, stawiają kolorowe drinki, całują. Zawsze, gdy na nich patrzę, zastanawiam się, czy może ta próba się powiedzie. Niestety, nigdy się nie powodzi. Szansa na sukces jest odwrotnie proporcjonalna do ilości prób. Mam też pewną klientkę: wysoka blondynka o niebieskich oczach i orlim nosie. Ciągłe przyjeżdża z nowymi facetami... Pewnego razu, gdy na moment zostaliśmy sami, mrugnęła i szeptem dodała - to nic poważnego...

Odprowadziłem ją

Pewnego wieczoru przyszła stała klientka. Około 30-tki. Patrzyła jakoś dziwnie. Jej oczy także były inne niż zwykle. Wiedzia-

łem, że coś wisi w powietrzu. W końcu odczekała na odpowiedni moment i wtedy zaproponowała mi sex - bez zobowiązań. Gdy zacząłem się peszyć i jakoś tłumaczyć, że dziękuję, ona z rozanielonym uśmiechem nadal mnie przekonywała. Argumenty, że jestem młody i niedoświadczony jeszcze bardziej ją zachęcały do dalszego nalegania... Około północy odprowadziłem ją wzrokiem do drzwi...

Zginął od pierwszego strzału

Podczas barowej rozmowy poznałem żołnierza, strzelca wyborowego, twardego z krwi i kości, niski, barczysty, umięśniony. Powaga i profesjonalizm wypisane na twarzy. Przeszedł niejedną ekstremalną selekcję, co utwierdziło go w przekonaniu, że jest urodzony, by służyć w armii. Dostał szansę wyjazdu na misję, tzn. do Iraku - na wojnę... Wyjechał... Kilka miesięcy później znów przyszedł, jednak to już był inny facet. Podczas jednego z patroli zostali zaatakowani, odpowiedzieli ogniem. Wszystko działo się strasznie szybko. Strzelali do nich z trzech stron, jak

w amerykańskim filmie. Jeden oberwał, natychmiast przenieśli go w bezpieczne, a właściwie mniej niebezpieczne, miejsce, gdyż na wojnie nie ma bezpiecznych miejsc. Nawet bazy są atakowane ogniem moździerzowym... Trzymał chłopaka za rękę. Mówił mu, że z tego wyjdzie, ten patrzył szklistymi oczami. Później okazało się, że gdy z nim rozmawiał, tamten już nie żył. Zginął od pierwszego strzału...

Każdy ma swoje priorytety

Kilka tygodni później poznałem innego dziarskiego żołnierza. Wysoki, muskularny, krótko ostrzyżony, z wyraźną szczęką i dużym białym uśmiechem. Gdyby wojsko potrzebowało modeli reklamujących swoją działalność, on byłby idealny. Na ten uśmiech musiał podrywać wiele dziewczyn. Okazało się, że ma jechać z polskim kontyngentem do Afganistanu. Zapytany o powód wyjazdu zaczął mówić o tym, że chce się sprawdzić w działaniu i liczy się z tym, że będzie musiał strzelać do ludzi, bo na tym przecież polega wojna... A tak w ogóle każdy ma swoje priorytety...



Widziałem go

Z rana do baru pewnym krokiem wchodzi dwóch mężczyzn. Wyjmują legitymacje i zupełnie znieacka pokazują zdjęcie - twarz brodatego mężczyzny, miał zamknięte oczy, na jego nosie siedziały muchy. Pytali czy go widziałem. Przyjrzałem się uważnie, a że mam pamięć wzrokowca, byłem przeświadczony, że nie miałem z nim nigdy do czynienia. Ponoć został znaleziony w pobliskim lesie zaszytowany. Dwa dni później, kilkaset kilometrów dalej, na dworcu PKP widziałem jego twarz, uśmiechnięty, patrzący na mnie z plakatu z napisem "poszukiwany". Zdjąłem plakat i poszedłem na najbliższy komisariat. Pokazałem go dyżurnemu, powiedziałem, że ten człowiek nie żyje. Ze zdziwieniem zapytał skąd wiem, dodałem,

że go widziałem...

Potem mówili

Pewnego razu zobaczyłem przez okno, że przed lokalem jest jakaś szarpanina. Znamy osiłek bił jakichś dwóch przyjezdnych. W pewnym momencie jednego z nich podniósł za ubranie do góry i rzucił. Chłopak leciał jak w *Matrixie* - jak gdyby w zwolnionym tempie. Gdy upadał, najpierw uderzył głową o próg, potem opadła reszta ciała. Pod stopami poczułem tąpnięcie i przeszywający dźwięk, którego nie potrafiłem do niczego porównać. Nie wstał, po progu pociekł czerwony strumyk... Dość szybko przyjechała erka, delikatnie przenieśli go na nosze. Odjechali na sygnale. Zmyłem krew. Pomodliłem się. Potem mówili, że miał pękniętą podstawę czaszki i że zmarł następnego dnia... Ktoś inny mówił, że ponoć uciekł ze szpitala...

Jestem w niebezpieczeństwie

Wczesnym rankiem do baru wbiegł młody chłopak. Szczupły, z rozczochranymi włosami, w oczach miał przerażenie. Mówił, że zaraz tu przyjdą i że bym go ukrył. Dodał, że chcą go zabić. Natychmiast kazałem mu się wynosić. Pomyślałem, że jeśli rzeczywiście chcą go zabić to i ja jestem w niebezpieczeństwie...

Co my teraz zrobimy

Pewnej soboty, latem, zdrowo po północy sprzątałem lokal przed zamknięciem. W drzwiach baru była zamknięta krata, ale drzwi były otwarte. Siedziały jeszcze dwie, trzy parki, do drzwi podeszło kilka osób. Doczepili się do kraty prosząc, abym ich wpuścił lub chociaż sprzedał coś na wynos. Odmówiłem, byli totalnie pijani. Stojąc na zewnątrz zaczęli nawoływać: prosimy - uratujcie nas! Wypuście nas stąd! Zamknęli nas! Co my teraz zrobimy?...

Pozdrawiam z baru.

